

Najgłośniej, najciszej...

„- [...] jaka jest tajemnica Chopina?

– Są tajemnice, których nie należy zgłębiać,

lecz z nimi przestawać: ich towarzystwo

uczyni pana lepszym”

– Éric-Emmanuel Schmitt

Rozpoczęcie sezonu artystycznego to zawsze wielkie wydarzenie. Czasem bywa tak, że teatry między sobą konkurują, by być pierwsi, ale wśród krakowskich scen w tym roku palma pierwszeństwa przypadła chyba najwłaściwszej instytucji, mianowicie Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego wraz ze spektaklem dyplomowym „Fortissimo” w reż. Marcina Libera i z tekstem Małgorzaty Czerwień.

Współczesny teatr bardzo często wprowadza widza w akcję już od momentu przekroczenia progu drzwi prowadzących na widownię, czasem wynika to jedynie z faktu braku kurtyny, w niektórych chlubnych przypadkach jest to świadomy zabieg. Tak właśnie rozpoczyna się spektakl „Fortissimo” – od bohaterów zamarłych w rozmaitych pozach, skupionych, medytacyjnych czy modlitewnych. Obok każdego metronom, wyznaczający czas mechanicznym dźwiękiem, ale dla każdego w nieco inny sposób, asynchronicznie. Gdy wreszcie na wypełnionej po brzegi widowni zapada cisza, postacie ruszają, zmieniają swoje miejsce wraz z własną ławą do fortepianu (choć ten ostatni jest tylko jeden po prawej stronie sceny), wchodzi w inny zapisany w gestach stan emocjonalny, a potem w następny i w następny. Aż nagle wybuchają brawa, aktorzy ustawiają się w rzędzie, kłaniają się i ustami swoich postaci przedstawiają się, nie nazwiskiem ale tym, z czego powinno być znane wyimaginowanej widowni. Dopiero w tym momencie wyznacza się charakter spektaklu, wyraźniej ukazuje się miejsce i czas, scena i kulisy sali koncertowej. Pomiędzy etapami Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina a naszymi bohaterami są uczestnicy konkursu, w kostiumach dopasowanych do sytuacji, eleganckie – mniej lub bardziej wyzywające – suknie, garnitury, dopasowane lub celowo źle dobrane.

Tu rozpoczyna się właściwa akcja spektaklu i dopiero w tym momencie widzowie mają okazję przekonać się, jak przedstawia się rzeczywista wartość kunsztu twórców. Spektakle dyplomowe często borykają się z jednym podstawowym mankamentem. Swoboda ich konstrukcji ograniczona jest wymogami, w ramach których każdy z aktorów powinien się

zaprezentować w co najmniej trzech rodzajach sytuacji: monologu, dialogu, etiudzie zbiorowej. Bywa niestety tak, że wprowadzenie tych elementów dla każdego z aktorów prowadzi do sztucznego sklecenia fabuły. Jednakże nie w tym przypadku. „Fortissimo” nie ma zbędnych linijek tekstu czy elementów choreografii, ponadto nie tylko słowo tutaj gra, lecz także i cisza odgrywa swoją niebagatelną rolę.

Widz w spektaklu ma okazję przejść przez istny gąszcz emocji, towarzyszących balansowaniu na krawędzi pomiędzy najwyższą i najbardziej pożądaną nagrodą a wcale niezaszczytną przegraną. *Vae victis* – biada pokonanym. Takie hasło zdaje się drzemać w dźwięku każdej z napiętych strun koncertowego Steinwaya. To studium współzawodnictwa o subtelnej i wyrafinowanej brutalności, skupiające się przede wszystkim na sferze psychicznej, rozbudowanej o fizyczność bohaterów, którzy przecież też są ludźmi, z siniakami i pęcherzami od ćwiczeń, bólem głowy z napięcia i odwodnienia, drżeniem z wysiłku i zmęczenia. Takich bohaterów, młodych, lecz zbyt doświadczonych, stawia przed oczyma widzowi Małgorzata Czerwień; takie postaci kreują studenci AST, prowadzeni i kształtowani przez Marcina Libera.

Dokąd udało się zaprowadzić kreacje po mozolnych pracach nad linijkami tekstu i dopracowywaniem każdego ruchu i detalu mimiki? W trzynastoosobowej obsadzie jest się nad czym pochylić, jednak z szacunku do uwagi Czytelnika, a także dla pobudzenia ciekawości, przedstawię jedynie wybór, namiastkę tego, co zostało zaprezentowane.

Dojrzałość

Pierwsza bohaterka, której szerszy kontekst widz może obserwować, to bohaterka doświadczona i w pełni ukształtowana. Jej odmienność od grupy będzie śledzona w dalszych częściach, co nadaje charakter powagi w obrębie zawiązywania się akcji i stanowi przeciwwagę emocjonalną dla pozostałych. Ta postać wykreowana przez Paulinę Gajewską jest subtelnie stanowcza, posiada rysy, które w historii postaci zdążyły się już zatrzeć, niemal wygładzić wiatrem czasu, a jednak tuż pod skórą wyczuwalne są wszystkie poprzednie doświadczenia, nabudowana grą aktorską głębia zapisanych kart życia bohaterki, która nie jest już Afrodytą nieskalaną nawet spojrzeniem, wylaniającą się z morskiej piany, a raczej tą z posągu z Milo. I to udało się ukazać aktorce, uchwycić przy użyciu precyzyjnie dobranych narzędzi, dających wrażenie opanowania i stanowczości, podszytych lekką nutą niepewności.

Dyrygent ciszy

Cisza to narzędzie, z którym należy zawsze obchodzić się niesłuchanie ostrożnie. Najłatwiej chyba porównać grę ciszą w teatrze do łapania motyli, zawsze siatka mija rusalkę o milimetry, i trzeba cały pościg zaczynać od nowa, a gdy już się ją złapie, to należy obchodzić się z nią delikatnie, bo jeszcze ucieknie lub zostanie zmiażdżona w dłoni. Teatr pozwala tylko na jedno podejście (nie licząc całej serii ćwiczeń „na sucho”), uda się albo nie. Złapie widza, którego uwaga krąży w powietrzu, a jeśli nie złapie, to cały wysiłek idzie na marne. Kamil Żebrowski okazał się bardzo wprawnym łowcą motyli, a na dodatek okazuje się posiadać magiczną umiejętność zatrzymywania czasu. Wygrać wszystkie przewidziane i potrzebne pauzy z utworu 4’33” i zakończyć je czułą, wzruszającą nutą to pokaz niemalże poetyckiego wykorzystania chwili.

„Moja krew”

Bezgraniczne zaangażowanie. Własne, a potem stawiane za wymóg innym. Portretowanie różnych postaci w ramach jednego spektaklu czasem nie udaje się zbyt dobrze. Zwłaszcza gdy środki kostiumograficzne, scenografia i charakteryzacja nie pozwalają na postawienie wyraźnej granicy. Jak to rozwiązać? Na przykładzie spektaklu „Fortissimo” następująco: subtelnie usuwamy pierwotną odsłonę postaci z akcji, dając znać, że już się nie pojawi, a potem wprowadzamy kogoś, kim ta postać mogłaby się stać. Bohaterka, która oddawała się bez reszty rywalizacji, nie zważając na ból i krew na klawiszach, powraca jako apodyktyczna mentorka, dla której nie ma zbyt dużych poświęceń. Krew na klawiaturze, a potem szept „moja krew”, gdy uczennica odchodzi od fortepianu. W obu przypadkach odgrywająca tę postać Aleksandra Brudzińska miała okazję wykorzystać te same środki do kreacji zupełnie odmiennych sytuacji, z zupełnie innym uzasadnieniem emocjonalnym i przezwyciężyć pokusę jakiegokolwiek ewolucji czy eksperymentu.

Otwarcie, rozwinięcie, zakończenie

Zawsze jedna z postaci, nawet w sztuce nastawionej na ukazanie zbiorowości, przeżywa inną kategorię emocji od pozostałych. Niekiedy autorzy spektaklu pozwalają dostrzec zza rąbka kurtyny szerszy plan na postać. Nie byłem jednak dość spostrzegawczy, by zauważyć to wcześniej niż w finale. Dopiero w ostatniej scenie pojąłem, że to Michał Murawski przeprowadził mnie przez cały spektakl, by rozwiązać akcję. Najpierw jako postać teoretycznie najbliższa widowni, potem jako bohater najbardziej dramatycznego wydarzenia, aż na koniec jako... Ale sza! Może tutaj przerwę, bo nie ważne jak, ważne, że postać ta okazała się związać

wszystkie wątki w zakończeniu, co nie miałyby może tak doniosłego wydźwięku bez uprzedniej nadbudowy, zarówno fabularnej, jak i aktorskiej.

Dla krytyków

Pozwalam sobie pominąć w zasadzie wszystkie sceny zbiorowe wraz z pewną przesiąkniętą „duchem Chopina” niespodzianką w samym środku spektaklu, ale zostawiam jeden wyjątek. Mianowicie scenę, w której internetowi komentatorzy grają rolę krytyków. Szpileczka dla każdego, kto zajmuje się choćby najdrobniejszym publikowaniem opinii w Internecie, ale szpileczka niezwykle pożyteczna, przynajmniej taką mam nadzieję.

„Fortissimo” należy do tych spektakli, które mają w sobie coś z dźwięku strojącej się orkiestry. Najpierw każdy z osobna próbuje odnaleźć właściwe brzmienie, by móc wreszcie pod batutą dyrygenta wygrać wszystkie nuty przewidziane przez autora. Właściwa muzyka pojawia się tak naprawdę, gdy gasną światła, wcześniej jest tylko nieustanne, czujne zbliżanie się do ideału. A gdy wszystko milknie, okazuje się, że idealne dźwięki już usłyszeliśmy.

Mateusz Leon Rychlak